

Agata Araszkiwicz

„Jestem Charlie”

dla Jacka Dobrowolskiego

Wydarzenia związane z paryskim zamachem na tygodnik satyryczny „Charlie Hebdo” zdominowały inne tematy na początku 2015 roku. W jakiej Europie (a zwłaszcza w jakiej epoce?) żyjemy? Jaką rolę odgrywa w niej kultura rozumiana jako obszar indywidualnej wolności? Jeśli mamy do czynienia z konfliktem, to na jakiej linii on przebiega? Te pytania uzasadniła jeszcze popularność wypuszczonego chwilę po terrorystycznym ataku hashtagu „Jestem Charlie” (*Je suis Charlie*), który szybko stał się właściwie fenomenem szalonej mody. W czasie jednego z największych kryzysów tożsamościowych Europa i świat zachodni przeżywają swój moment ogromnej solidarności. Warto się zastanowić, co się za tym wszystkim kryje.

Odkąd pamiętam, przemoc zbrojna mnie przeraża. Panika i bezradność to pierwsze reakcje, jakie przychodzą mi do głowy zarówno na myśl o zorganizowanej militarnej przemocy – możliwej wojnie tu i teraz (jakbyśmy za mało już w Europie przeszli) – jak i wobec możliwości zamachu terrorystycznego, spontanicznie zmilitaryzowanej przemocy (w Brukseli, Paryżu i Kopenhadze ostatnio znowu to się zdarza). Poczucie absurdu i spustoszenia towarzyszyło mi, gdy czytałam kolejne informacje o egzekucji, która miała miejsce 7 stycznia w „Charlie Hebdo”. Kulminacja lęku nastąpiła, gdy media obiegly zdjęcia zakrwawionych korytarzy redakcji, przedstawiające ślady zaplanowanego zamachu.

Około godziny 11.30, gdy tradycyjne, cotygodniowe, śródowe zebranie dziennikarzy prawie dobiegało końca, do pomieszczeń wdarli się dwaj uzbrojeni w karabiny maszynowe osobnicy w czarnych kominiarkach. Jeden z nich wymówił głośno pseudonim szefa pisma: „Charb?”. Ten wstał z rękami podniesionymi w górę i zginął jako pierwszy, nim napastnicy otworzyli ogień do reszty zgromadzonych. W rzezi, do której doszło w lokalu, zginęło dziewięć osób. Jeden mężczyzna został „przypadkowo” zastrzelony, gdy napastnicy wtargnęli do budynku, a drugi, policjant z patrolu, zginął podczas ich ucieczki. Terrorysty dobili go z zimną krwią na chodniku, na jednym z paryskich bulwarów.

Wśród ofiar masakry w „Charlie Hebdo” znalazły się osoby o interesującym profilu społecznym. Charb (właściwie Stéphan Charbonnier, 47 lat), na czele tygodnika od 2009 roku, definiujący się jako antyklerykał o silnych laickich przekonaniach, prowadził rubrykę *Charb nie lubi ludzi* i słynął z kontrowersyjnej osobowości. Był autorem hasła „lepiej umrzeć, stojąc, niż na kolanach”, które wygłosił, gdy redakcja zaczęła dostawać pierwsze pogróżki po przedrukowaniu za duńskim dziennikiem karykatur Mahometa w 2006 roku. Charb był uparty i w dużej mierze odpowiadał za to, że pismo absolutnie nie zmieniło linii. Do redakcji dołączył w 1992 roku, po reanimacji pisma, gdyż „Charlie Hebdo” („Tygodnik Charlie” – *l’hebdo* to skrót od słowa *l’hébdomadaire* – tygodnik), powstały w latach 60., splajtował po raz pierwszy w 1981 roku. Dokładnie rzecz ujmując, „Charlie Hebdo” był

Felietony

zmutowaną wersją satyrycznego, neodadaistycznego miesięcznika „Hara-Kiri” (francuska wersja amerykańskiego zrewoltowanego „Mad Magazine”), który padł ofiarą cenzury gaullistowskiej, paradoksalnie – tuż po śmierci de Gaulle’a, w 1970 roku. Specjalizował się (zwłaszcza w swym rysunkowym cotygodniowym dodatku „L’Hebdo Kara-Kiri”) w antymieszczkańskiej satyrze wymierzonej głównie w religię i rasizm oraz w konserwatywnych reprezentantów społecznego porządku, takich jak sędziowie, a nawet sportowcy, ale przede wszystkim wojskowi. Nowa nazwa, „Charlie”, pochodziła od tytułu komiksowego miesięcznika, założonego w 1969 roku (tym samym co „L’Hebdo Hara-Kiri”) przez Georges’a Berniera alias Profesora Chorona i nawiązującego do postaci Charliego Browna z *Fistaszków*. Choron (lubujący się w „świntuszeniu”) wraz z innym znanym francuskim satyrykiem François Cavanną (bardziej intelektualnym i bardziej lewicowym) poprowadził pierwszą edycję „Charlie Hebdo”, która charakteryzowała się typowym dla epoki triumfem wolności seksualnej (nieraz pod znamiennym znakiem „starego, dobrego seksizmu” lewicowego) i pierwszymi znakami wrażliwości ekologicznej. Edycja ta przetrwała nieco ponad dekadę i wyczerpała się wraz z dojściem do władzy lewicy w postaci Mitteranda.

Wskreszenie pisma Francuzi zawdzięczali uporowi jednego z rysowników, Georges’a Wolinskiego. Wolin (84 lata) to kolejna ofiara masakry. Syn polskiego Żyda, urodzony w Tunezji, uważany nie tylko za najważniejszą podporę „Charlie Hebdo”, ale i za jednego z największych rysowników francuskich, został odznaczony Legią Honorową w 2005 roku. Zadebiutował rysunkową parodią wiersza Victora Hugo *Po bitwie* i miał rozpoznawalny, charakterystycznie oszczędny styl. Przyznawał się do „rysunkowej obsesji: kobiet!”, w czym uosabiał nieco mizoginicznego ducha starej lewicy, ale paryska feministka polskiego pochodzenia Monika Karbowska podkreśla, że nawet jako nastolatka uważała jego prace za emancypacyjne. Wolin i Cabu, kolejny rozstrzelany w redakcji „Charlie Hebdo” rysownik, uchodzili za ludzi instytucje. Cabu (Jean Cabut, 79 lat), określany jako „kronikarz V Republiki”, był twórcą słynnej karykatury przeciętnego Francuza (nazywanego *Le Beauf* – od charakterystycznego francuskiego gestu wyjęcia ust), z wąsami i w berecie, prowincjusza, który uosabia „ducha narodu”. Przypisywano mu 35 tysięcy rysunków – od epoki de Gaulle’a do czasów Hollande’a. Po rekrutacji na wojnę w Algierii stał się pacyfistą, był też vegetarianinem i abstynentem. Okulary lenonki i fryzura na pazia były jego znakami rozpoznawczymi, tak samo jak nieustanna chęć szkicowania. Przetrwiała anegdota o tym, jak podczas wojny w Kosowie poproszono Cabu, zaproszonego na telewizyjny reportaż do baru muzułmańskich Serbów w Paryżu, aby nie rysował. Wykonywał więc swoje szkice w rękawie kurtki, po omacku. Jeden z niezliczonych rysunków pokazywanych we francuskich mediach, powstałych w holdzie po masakrze w „Charlie Hebdo”, przedstawia Cabu w sytuacji, w której nawet gdy brodaty napastnik przykładą mu karabin do głowy, nadal usilnie pochyla się nad kartką i pracuje ołówkiem. Napis w chmurce nad jego głową głosi: „Prześmiań! Przez ciebie zepsuję rysunek!!!”. Znany z antymilitarnej działalności pozostawił po sobie jeszcze jedno wspomnienie – w momencie wskreszenia „Charlie Hebdo” w 1992 roku Cabu chciał nadać gazecie nowy tytuł „Kałasznikow”...

Tignous (Bernard Verlhac, 57 lat), młodszy i bardziej dyskretny, specjalizował się w rysunkach krytykujących zjawisko kumulującego się bogactwa w rękach „naczelnich” biznesmenów. Był też autorem komiksowych rozmów pomiędzy pandami *Misie we mgle* (2013), w których nie tylko podkreślał zagrożenia gatunku. Ich rozmowy posłużyły mu

także do zmierzenia się z problemami nowoczesnego społeczeństwa: izolacji niektórych grup, pauperyzacji i związanego z tym ostracyzmu. Był aktywnym członkiem organizacji Cartoonist for Peace, a także przeciwnikiem walk byków – na jego rysunkach corrida wyglądała zawsze jak scena zbrodni...

Honoré (Philip Honoré, 76 lat), satyryk polityczny, wykazujący się nie tylko mistrzowską ciętością frazy, ale także najbardziej starannym kunsztem artystycznym – jego prace porównywane były do XIX-wiecznych drzeworytów.

Bernard Maris, felietonista ekonomiczny i członek Głównej Rady Banku Francji, zwolennik Unii Europejskiej, ale zwolennik wyjścia Francji ze strefy euro w obliczu kryzysu. Przyjaciół Michela Houellebecqa i autor książki *Houellebecq ekonomista*, zagorzały fan jego ostatniej powieści *Soumission* (Uległość), której pochwalną recenzję umieścił w „Charlie Hebdo” w grudniu ubiegłego roku. W odpowiedzi na dyskurs o konieczności reform i przywróceniu konkurencyjności produkcyjnej Francuzów przygotowywał książkę, w której uprzywilejowuje w gospodarce francuski model afirmacji życia i rehabilituje postawę „szczęścia bycia Francuzem”...

Moustapha Ourrad (60 lat), korektor, samouk i mistrz języka pisanego, urodzony w Algierii i od 40 lat mieszkający we Francji, właśnie otrzymał obywatelstwo francuskie. Zazwyczaj przychodził do redakcji w poniedziałki na zamknięcie numeru, tym razem w środę pracował nad wydaniem ekstra, poświęconym noszeniu ciąży na zamówienie innej osoby. Elsa Cayat, psychiatra i psychoanalityczka, autorka prac o seksualności i pożądaniu, prowadziła rubrykę *Charlie na kozetce*. Michel Renaud, twórca festiwalu Rendez-vous Carnet de Voyage w Clermont-Ferrand, na ostatnią edycję w 2014 roku zaprosił Cabu, w podziękowaniu został zaproszony na radę redakcyjną i przyniósł rysunki Cabuta. Napastnicy ranili pozostałe trzy osoby, oszczędzając jedną z rysowniczek, Coco, której oznajmili: „Ciebie nie zabijemy, gdyż nie zabijamy kobiet. Ale będziesz czytała Koran”. Pozostałe ofiary to Franck Brinsolaro, policjant ochraniający Charba, który od momentu publikacji duńskich karykatur otrzymywał listy z pogróżkami (ochrona ta została zresztą ostatnio ograniczona i sam Charb miał poczucie winy, że naciąga Republikę...) i Frédéric Boisseau, przedstawiciel Sodexo (firmy zarządzającej należącym do miasta budynkiem, który miał zostać poddany remontowi – to był pierwszy dzień w nowym miejscu pracy) – jego właśnie zastrzelono pierwszego „bez pytania”. Ostatnią ofiarą był policjant w mundurze – Ahmed Merabet, praktykujący muzułmanin.

Jak wspominał Laurent Léger – dziennikarz, który przeżył, padając pod stół i udając martwego – zebranie redakcji poświęcone było najnowszej książce Houellebecqa – tego dnia była jej premiera. Na okładce numeru „Charlie Hebdo”, który wyszedł w tę środę, skarykaturowany na rysunku Houellebecq głosił: „W 2015 roku tracę zęby, w 2022 przechodzę na ramadan”. Zdania w redakcji były podzielone: Cabu i Tignous byli zawiedzeni książką, podczas gdy Bernard Maris zaciekle jej bronił. Powieść Houellebecqa to wizja społeczeństwa francuskiego w 2017 roku, rządzonego przez demokratycznie wybraną w wyborach islamską partię Braci Muzułmańskich w koalicji ze skrajnie prawicowym Frontem Narodowym. I chodzi tu nie tylko o stare powiedzenie, że skrajności się przyciągają, ale także o szerszą refleksję na temat demokracji i wolności. Bohater Houellebecqa, uniwersytecki

Felietony

profesor literatury (specjalista od dekadencckiego pisarza Jorisa-Karla Huysmansa, który uległ nawróceniu), zmarginalizowany w świecie narastającego neoliberalizmu (zobrazowanego – jak często u tego pisarza – jako pełen konsumpcji, pornografii i wyzwolenia kobiet), w islamskim reżimie odnajduje godność i spokój. Być może za cenę intelektualnej wolności, jednak, niczym bohater *1984* Orwella, kończy swój relacjonujący wydarzenia rewolty monolog znamienym zdaniem: „Niczego nie będę żałował”. Typowej, niepozabawionej trafności diagnozie społecznej Houellebecqa (upadek znaczenia uniwersytetów, zanik prestiżu i marginalizacja intelektualistów) towarzyszy swoisty cyniczny triumf pornokratycznych reakcyjnych fantazji, związanych z miejscem kobiety w społeczeństwie. W tej konkretnej sprawie niewiele się zmienia – kobieta zawsze pozostawała i nadal pozostaje dla pseudonostalgicznego (bo za czym ta nostalgia?) powieściowego świata Houellebecqa Inną, pozbawioną demokratycznej podmiotowości. Więcej: to właśnie regres pozycji kobiety zapewnia harmonijne przejście islamskiego reżimu przez męskie podmioty na Zachodzie (o ewentualny kobiecy bunt nikt tu nawet nie pyta). Bohater powieści odnajduje dodatkowy sens przejścia na islam pod wpływem argumentu, że „partia znajdzie mu młodą żonę”, ba! nawet trzy żony.

Ogromne znaczenie w ostatniej książce Houellebecqa ma odwołanie do erotycznej powieści francuskiej napisanej w latach 50., *Historii O*. Jej autorka skrywała się pod pseudonimem aż do śmierci i dopiero w latach 90. Francuzi odkryli, że była nią specjalistka od poezji religijnej Dominique Aury, związana z literackim piśmem „Nouvelle Revue Française”, a ściślej: związana z jej szefem – Jeanem Paulhanem. To w dowód dziwnej osobistej zależności czy też miłosnego hołdu powstała historia seksualnej degradacji młodej kobiety, która na własne życzenie popada w całkowite seksualne poddaństwo wobec mężczyzn. W tej jednej z najsłynniejszych pozycji literatury erotycznej na świecie dochodzi do znamienego porównania fallusa z Bogiem – rytuał nakazuje kobietom klękać w natchnieniu przed obnażonymi mężczyznami. Jednak emancypacyjny naddatek powieści (po latach, w wydanej pośmiertnie „spowiedzi”, Aury powtarzała, że napisała swą książkę, by skończyć z pewnego rodzaju uzależniającym snem) u Houellebecqa całkowicie znika. W *Soumission* nowy rektor uniwersytetu po konwersji na islam otrzymuje w nagrodę za zasługi możliwość mieszkania w pięknym domu Jeana Paulhana w jednej z dobrych paryskich dzielnic. Podkreśla on w swoim monologu, że dom ten ma dla niego znaczenie dlatego właśnie, że powstała w nim *Historia O*. Ta literacka gra wydobywa afirmację poddaństwa, czy też autopoddaństwa, w bardzo powierzchowny sposób. Jakkolwiek sprytnie jest porównanie dobrowolnej, przynoszącej rozkosz seksualnej niewoli do procesu przechodzenia na islam, to przy całym tym niby przewrotnym sprycie znika odwracający wszystkie te znaczenia temat różnicy płci. O ile Aury demaskowała kobiecą zależność od mężczyzn, o tyle Houellebecq mistyfikuje zagrożenie tożsamości europejskiej przez napływ Obcych, islamistów (samo słowo „islam” oznacza „poddanie”), całkowicie upodrzędniając kwestię kobiecej emancypacji (i, o czym świadczy liczba sprzedanych egzemplarzy, to się bardzo podoba!).

„Eur Arabia” to koncept, którego echa pobrzmiwają w narracji francuskiego pisarza. Zawdzięczamy go egipsko-brytyjskiej intelektualistce Bat Ye-ór, która tropi historyczny proces rzekomego pogłębiającego się gospodarczego i politycznego uzależnienia Europy od krajów arabskich od końca XIX wieku. Jej praca *L'Europe et le spectre du califat* (Europa i widmo kalifatu) wyszła we Francji w 2010 roku, i choć niektórzy dopatrują się w niej teorii

spiskowej, doczekała się wielu komentarzy. Bat Ye-or śledzi zależności krajów zachodnich od arabskiego imperium ropy naftowej, wydobywając przede wszystkim znaki możliwych antagonizmów kulturowych między dwiema cywilizacjami. Stąd podział na „my” i „oni”, tak mocny w potocznym społecznym odbiorze, zyskuje tu dodatkową wykładnię w postaci na przykład konfliktu czasowości („oni” żyją w innej epoce) czy też konfliktu semantycznego (powieść Houellebecq’a zaczyna się od wizyty „trzech braci” na uniwersytecie, sprawdzających „ubranie” muzułmańskich sióstr; odchodząc, rzucają: „Pokój z Tobą”, lecz – co wydobywa jedna z entuzjastycznych recenzji powieści – jak komentuje Bat Ye-or, w islamie „słowo «pokój» z niemuzułmaninem oznacza albo jego nawrócenie, albo poddanie”). Krytycy francuscy dopatrują się dużych zależności powieści Houellebecq’a od teorii egipskiej intelektualistki (oboje wypunktowują też arabski antysemityzm, przy czym u Houellebecq’a oczywiście przyjmuje on „smutny” aspekt koniecznej ucieczki jego najlepszej, młodocianej kochanki, Miriam). Jednak zdania literackiej krytyki co do powieści są podzielone: sam dodatek „Le Monde” o książkach (9.01.2015) zamieszcza przeciwstawny dwugłos krytyków. Jeden widzi w „przywracającej patriariat” powieści *Soumission* prawdziwy triumf pozahistorycznej (we Francji nigdy nie istniała potrzeba istnienia islamskiej partii politycznej) myśli reakcyjnej i najsłabsze literacko dzieło Houellebecq’a. Drugi zachwycą się „niezwykłą powieściową zawartością” książki, próbującej epicko zawrzeć możliwość kulturowej „zmiany paradygmatu”. To prawda, że Francja przechodzi mentalny kryzys – świadczą o tym choćby tytuły książek w księgarni: *Francuskie samobójstwo*, *Co zlego z Francją?*, *Francuski upadek* i tym podobne. Okazuje się jednak, że Houellebecq’a jako „populistycznie” dobrze zrobiony literacki produkt – trochę pieprzyku i trochę sensacji, a zwłaszcza ponura apoteoza narcystycznego „ja” współczesnego społeczeństwa z jego skrajnymi nierównościami, zanikiem solidarności i zobojętnieniem na cierpienie – nie może tu być żadną poważną odpowiedzią (przewiduję ogromną karierę tej powieści w Polsce!). Paranoidalna fantazja pisarza, w gruncie rzeczy zgodna z duchem Frontu Narodowego, która swój bazowy, wpisany w strukturę antysemityzm przepakowała na „obawy wobec muzułmanów”, niestety niebezpiecznie podsyca antagonistyczną narrację przeciw „islamizacji Zachodu” (w Niemczech odbyły się już nawet marsze pod takim hasłem).

W powieści Houellebecq’a, jak już zaznaczyłam, globalne przejście Zachodu na islam zapowiada scena wizyty na uniwersytecie trzech przedstawicieli Bractwa Muzułmańskiego, blokujących wejście na salę wykładową. Konfrontacja z „dwoma Arabami i jednym czarnym”, który im przewodniczy, kończy się, wbrew obawom bohatera powieści, zaskakująco spokojnie. Tym razem jednak zaskoczenie przyszło skądinąd – życie przekroczyło literacką fikcję, tragicznie drwiąc z powieściowych zamiarów autora. Nie tylko dlatego, że w rzezi w redakcji „Charlie Hebdo” zginął jeden z jego najbliższych przyjaciół, Bernard Maris, a sam Houellebecq’a, przytłoczony skalą wydarzenia, przerwał promocję książki i udał się na odosobnienie. Wkrótce potem okazało się także, że ataku dokonali dwaj bracia, Francuzi pochodzenia algierskiego, Said i Cherif Kouachi, a dowodził nimi również urodzony we Francji, czarnoskóry potomek imigrantów z Mali, Amedy Coulibaly („dwóch Arabów i jeden czarny”?). Niczym w mrocznej dziecięcej układance powieściowy świat wystąpił ze swoich ram i zapukał do drzwi autora jakby na dowód, że prawdziwych napięć społecznych nie da się uniknąć. Ani tym bardziej nie zyskuje się większego zrozumienia, jeśli damy tylko (libidinalny wręcz, pełen rozkoszy) upust naszym lękom. Houellebecq’a znakomicie zapisuje i wyolbrzymia obawy klasy średniej, w żadnym razie ich

Felietony

jednak nie przekracza. W zamachu na „Charlie Hebdo” istnieje tymczasem wiele pokładów znaczeń koniecznych do przemyślenia.

Sprawcy zamachu, trzech mężczyźni, dorastali na francuskich imigranckich przedmieściach. Coulibaly w otoczeniu dziewięciu siostr w szanowanej robotniczej rodzinie. Bracia Kouachi mieli trudne dzieciństwo w rodzinach zastępczych, gdy zostali wcześniej osieroceni przez rodziców sprowadzonych z Algierii do pracy we francuskich fabrykach. Ich drogi życiowe są bardzo podobne. Zachował się nawet dokumentalny film telewizyjny z 2005 roku, w którym Cherif Kouachi występuje jako młody raper. W 2009 roku Amedy Coulibaly, opisywany jako „przystojny i wesoły”, zostaje wytypowany do wizyty w Pałacu Elizejskim u ówczesnego prezydenta Nicolasa Sarkozy’ego – jako przykład udanej resocjalizacji po pobycie w więzieniu za drobne przestępstwa – a wizytę tę opisuje lokalna gazeta. Jednak ich próby poprawnej społecznej socjalizacji szybko kończą się kolejną karą więzienia za drobne wysoki. I to właśnie w więzieniach – pełnych grup dżihadystów – dokonuje się ich proces nawrócenia i radykalizacji fundamentalistycznej. Więzienia (90 procent zatrzymanych w wieku 18–30 lat stanowią synowie imigrantów z Afryki Północnej – warto zwrócić w tym miejscu uwagę na paralelną przemowę dotyczącą amerykańskich więzień nagrodzonego autora muzyki do filmu *Gloria* podczas gali wręczenia tegorocznych Oscarów, na której pojawiały się aluzje do sprawy „Charlie Hebdo”) zamieniają tych drobnych przestępców we współczesnych „rycerzy wiary”.

Francuska prasa opublikowała zdjęcia Coulibaly’ego z żoną Hayat Boumedienne (obecnie prawdopodobnie zbiegła do samozwańczego islamskiego państwa Daesh) z jeszcze niedawnych wakacji na Krecie, gdzie beztrudno opalają się na plaży w kostiumach kąpielowych. Jaki proces trzeba przejść, żeby w stosunkowo krótkim czasie zostać fanatykiem zdolnym do samobójczych zamachów (w obu przypadkach terroryści zginęli niedługo po tragedii, zgodnie ze swoimi zamiarami, rezerwując sobie tym samym religijnie wywyższaną śmierć „mężczyńską”)? Po zamachu w mediach pojawiło się także inne rysunkowe odwołanie do zamachowców – *Les pieds nicelés* (Niklowane stopy – ale po polsku powiedziałoby się raczej „lewe ręce”). To seria komiksowa z początku XX wieku przedstawiająca wędrownych włóczykiów nieudaczników. I rzeczywiście – bracia Kouachi tego pechowego dnia zaczęli od tego, że pomylili adres (od pożaru redakcji w lipcu ubiegłego roku „Charlie Hebdo” miał nową, trzymaną w tajemnicy lokalizację bez szyldu). Udało im się jednak odnaleźć dobry adres, a terroryzując listonoszkę i napotkanych członków redakcji (a właściwie członkinie – były to również kobiety), wdrzeć do środka. Następnie uciekając, porzucili samochód, w którym zostawili dowody tożsamości (ale być może uczynili to specjalnie). Krzycząc *Allah Akbar* i próbując występować w roli świętych męczenników, tak naprawdę, jak napisał „The Guardian” (styczeń 2015), „z najbardziej czonej w islamie figury Mahometa uczynili szefa drobnej mafii”. Krzycząc zaś: „Zabiliśmy Charliego”, z małego tygodnika satyrycznego na granicy bankructwa uczynili tytuł znany na całym świecie, w którego obronie zbierają się tłumy i którego nakład wzrósł w ciągu tygodnia do ośmiu milionów. Wszystko to wskazuje jednak na niezwykłą determinację i desperację, które odbiły się echem w medialnych komentarzach.

„Tego dnia rano, gdy słychać było pierwsze strzały [na granicy Montrouge], Maimouna napisała na swoim koncie na Twitterze: «strzelanina na mojej ulicy»” – tak zaczyna się jeden z artykułów o zamachach w specjalnym numerze „Le Nouvel Observateur” (14–

–21.01.2015). I dalej: „Wszędzie słycać syreny, ulice są zamknięte”. Dzień wcześniej, pod wpływem zamachu na „Charlie Hebdo”, uznana profesjonalna tancerka, zawsze ubrana na czerwono i specjalizująca się w Booty Therapy, choreografka i autorka spektaklu o swoim dzieciństwie *Eee... Mariamou...*, grany od Paryża po San Francisco, zmieniła w akcie solidarności fotografię na swoim profilu na Facebooku na własne zdjęcie jako „czarna” Marianna w trójkolorowym gorsecie i czapce frygijskiej na głowie. Dawna prezenterka Trace TV, widziana w telewizyjnym studiu programu *Grand Journal* i *Francja ma talent*, ogłosiła także, że nie odwołuje wieczornego kursu tańca, który prowadzi: „Nie przestanę żyć z powodu tej niesłychanej masakry! Odmawiam!” – napisała na FB. „Zapraszam wszystkich, którzy chcą odreagować, uwolnić napięcie, wyrazić smutek czy narastającą nienawiść, by przyszli! Zamienimy ten smutek i złość w siłę, żeby nie dołować!”. „W tym momencie Maimouna nie wie jeszcze, że tym, który strzelał w Montrouge, samozwańczym żołnierzem kalifatu, odpowiedzialnym za panikę na jej ulicy, gdzie zabił policjantkę, i który zabije następnego dnia pozostałe cztery osoby w supermarkecie z koszernymi produktami Hyper Cacher w Vincennes, jest jej własny brat, Amedy”. W tej zaskakującej, świetnie napisanej dziennikarskiej narracji znika podział na „my” i „oni”, wraca poczucie bliskości tragedii i zagubienia. „Gdzie jest Charlie?” – pyta w innym artykule w tym samym numerze „Le Nouvel Observateur” pisarz i politolog Omar Saggi. Używa on kolejnego rysunkowego odniesienia do kultowego komiksu z lat 80. *Gdzie jest Charlie?*, który przedstawiał tytułową postać – młodego chłopaka w koszulce w paski – w rozmaitej scenerii: czy to w Hollywood, czy wśród piratów albo w przeszłości, a czytelnik miał go odnaleźć. „Gdzie jest Charlie dzisiaj? Wśród artystów – ofiar morderstwa? Czy w uśmiechu Ahmeda, [zastrzelonego] policjanta muzułmanina? Minipolemika wokół hashtagów #Jestem Charlie #Jestem Ahmed sama w sobie pokazuje zagubienie współczesnej Francji. Kto został trafiony? Wolność wypowiedzi, Francja, demokracja?” – pyta autor artykułu, i można dodać, cytując go dalej, kolejne pytanie: kto jest ich wrogiem? Czy ktoś „oddalony, jak islamskie państwo [...] Daesh? Czy bliski – «młody człowiek» o rysach niespokojnych, nieodnajdujący się w socjopolitycznych kategoriach Republiki?”.

Zaskakująca (choć nie wiem, czy takie słowo w ogóle tu pasuje) reakcja Francuzów na zamach w „Charlie Hebdo” i towarzyszące mu zabójstwa policjantki oraz klientów supermarketu była niespotykana solidarna i silna. W marszach republikańskich w weekend tuż po zamachach wzięło udział około czterech milionów osób, zjechali się przedstawiciele wielu europejskich państw, w tym nawet przywódcy Izraela i Palestyny. Francja w kryzysie przypominała sobie swą republikańską tożsamość, przypadkowi przechodnie powtarzali w nieskończoność w mediach hasła: „wolność, równość, braterstwo”, ale także „laickość” i „wolność wypowiedzi”, oraz że nie dadzą się zastraszyć. Prasa i telewizja udzielały masowo głosu muzułmańskiej mniejszości, by dyskutować o integracji oraz zupełnie odmiennym znaczeniu i roli islamu, manipulowanego przez terrorystów (brat zamordowanego policjanta na konferencji prasowej powtarzał: „Islam to religia miłości”, a media chętnie to podchwytowały). W odpowiedzi na zdjęcia przedstawiające makabryczne, zakrwawione korytarze redakcji media się nie antagonizowały, choć odnotowano wiele kryminalnych aktów antymuzułmańskich, takich jak podpalenia meczetów i tym podobne.

Wobec rozmiaru tragedii hasło „Jestem Charlie” dzięki mediom i portalom społecznościowym stało się fenomenem globalnej mody. Około pół godziny po ataku Joachim Roncin, dyrektor artystyczny lifestyle’owego paryskiego magazynu „Stylist”, zatwittował te trzy słowa, używając typografii tygodnika (a później odmówił wszelkich propozycji

felietony

komercjalizacji i opatentowania hasła). Już pięć godzin później skandowali je ludzie na ulicach Paryża i całego kraju, a po paru dniach retwitowali Mia Farrow, Elton John czy Madonna. Francuska telewizja publiczna zamieniła je na długi slogan puszczone jako spot reklamowy: „Jestem Charlie, jestem Ahmed, jestem Wolinski, jestem Charb, jestem Mostafa...”, aż do wyczerpania wszystkich imion ofiar zamachów, przetykając je określeniami „jestem żydem, jestem muzułmaninem, jestem chrześcijaninem, jestem laikiem”.

A jednak dla włoskiego intelektualisty lewicowego Miguela Melino „Jestem Charlie” oznacza przede wszystkim „Jestem Zachodem”. „Nie chodzi tu w ogóle o zderzenie cywilizacji – dowodzi. – Cywilizacje jako odseparowane jedności w dzisiejszym świecie nie istnieją”. Chodzi raczej o wewnętrzne zderzenie różnych rodzajów opresji w systemie kapitalistycznym. I stawia pytanie: dlaczego urodzeni we Francji i dorastający na przedmieściach, które możemy uznać za próbki europejskiej kultury *metisage'u* (mieszanka kulturowych wartości), młodzi chłopcy i czasem dziewczęta odczuwają potrzebę wyjazdu do Syrii na wojnę, potrzebę uczestniczenia w jakimś zbrojnym odwecie? Rasizm jest stałą strukturalną komponentą cywilizacji europejskiej. Dowodzą tego permanentne kontrole w Paryżu czy Londynie, ciągłe uliczne kontrole każdego, kto jest czarny albo wygląda na Araba. Ideologiczny aparat państwa nie jest wymierzony w tych, którzy „spacerują spokojnie w świątyniach konsumpcji, w beztroskich turystów, w ludzi idących do pracy czy pijących kawę”. „Kwestia rasizmu, która naznacza na poziomie materialnym i symbolicznym współczesną wielkomiejską przestrzeń europejską, pokazuje jawnie to, co można by nazwać kolonialnym stłumieniem i co pozostaje konstytutywne dla historii i kapitalizmu europejskiego, i to właśnie powraca dzisiaj w formach monstualnych, groteskowych”. W tym sensie zamach na „Charlie Hebdo” nie tyle jest nowym rodzajem wojny religijnej, ile cywilną wojną multikulturowego społeczeństwa.

Omar Sanghi podkreśla, że jeśli społeczeństwo otwarte zostało zaatakowane, musi odpowiedzieć jako takie, czyli poprzez powrót polityczności. „Depolityzacja ostatnich czasów, afirmująca konsumenta w świecie spektaklu, powinna ustąpić miejsca politycznej wojnie idei w samym sercu publicznej przestrzeni” – pisze. Ta konieczna polityzacja musi przywrócić nowy namysł nad kulturą, gdyż to przede wszystkim ona stała się tutaj terenem walki i osi zderzenia ideologicznych napięć. Tymczasem w „The Guardian” Pankaj Mishra, hinduski pisarz i eseista, w znakomitym artykule *After the Paris attacks: It's time for a new Enlightenment* (20.01.2015) idzie jeszcze dalej w swych refleksjach. „Jeśli tak wielu muzułmanów czuje się osobiście dotkniętych karykaturami Proroka, to dlatego, że jest on dla nich symbolem najbardziej szlachetnego człowieczeństwa, a nie odległym obrazem; najmniejszy jego akt jest godny naśladowania”. Tymczasem „Jylland-Posten”, duńska gazeta, która pierwsza opublikowała karykatury Mahometa, odmówiła wydrukowania szyderczych rysunków z Chrystusem w obawie przed reakcją chrześcijańskiej części czytelników. Nawet jeśli wolność wypowiedzi nie miała tak podwójnych standardów w „Charlie Hebdo” (jedną z podstawowych republikańskich wartości jest agresywna laickość – wszystkie religie były tam obiektem ostrej satyry, a w ciągu ostatnich dwóch lat islamowi poświęcono tylko jedną okładkę), warto przywołać podręcznikowe rozumienie satyry jako gatunku z kursu retoryki. Satyra powinna skupiać się przede wszystkim na krytyce władzy. W tym sensie młode pokolenie amerykańskich rysowników, dla których rok 1968 jest zamierzczłą historią, uznało rysunki „Charlie Hebdo” za rasistowskie („Courrier International”, wydanie belgijskie, 15–21.01.2015). Francuska mniejszość muzułmańska spotyka się ze szklanym sufitem,

na muzułmańskich przedmieściach bezrobocie sięga 50 procent, a na dodatek tylko pięć procent muzułmanów jest praktykujących, 20 procent zaś uznaje się za laików.

Warto przypomnieć dzisiaj, że Hannah Arendt opisywała świat nowoczesny jako moment, gdy po raz pierwszy w historii wszyscy ludzie na całej ziemi z różną przeszłością i tradycją zostają „wrzuceni” w jedną wspólną teraźniejszość. Każdy człowiek może przeżywać wydarzenia z drugiej półkuli, każdy kraj w zasadzie „sąsiaduje” z drugim, nawet odległym krajem. I przewidywała związane z tym napięcia i nieporozumienia. Tak to wygląda w makrooptyce, tymczasem w małej skali trzeba także dodać, że współczesny potomek francuskich imigrantów, którzy przybyli niegdyś jako tania siła robocza, ma ciągle ogromne trudności z odnalezieniem własnego obrazu w kulturze kraju, gdzie wyrasta. Europa pogrążona w kryzysie przestaje snuć swoje wizje przyszłości. W tej sytuacji trudno bronić dłużej przekonania, że gdy wszystko inne się zmienia, europejskie normy powinny być samowystarczalne i niezmiennie. A do tego nakazywać bezwarunkowe podporządkowanie się „zacofanym Obcym” – jak pisze Mishra. Myśląc o paryskich zamachach, hinduski powieściopisarz podkreśla, że muzułmanie w Europie doświadczają nowoczesności nie jako bogate mieszczaństwo triumfujące nad religijną arystokracją, lecz jako biedna mniejszość obcująca z państwem agresywnie świeckim, z którym dzieli długą i mroczną historię. Niestety dzisiejsza elita polityczna Francji (jak również intelektualna, na co wskazuje przykład Houellebecq) wydaje się zbyt reakcyjna i ograniczona, by zrozumieć zalety wielokulturowości. A jednak trzeba przemyśleć pakt oświecenia – dowodzi Pankaj Mishra, przywołując tezy Tony’ego Judta z jego pracy *Postwar*. Pojęcie Europy – udowodniał Judt – jako ucieleśnionej demokracji, racjonalności, praw człowieka, równości płci, wolności słowa, miało stłumić w zbiorowej pamięci wspomnienie brutalnych zbrodni, których prawie wszystkie europejskie państwa są winne. W tym sensie istnieje specyficzny kontekst dla powstawania dżihadu w Europie – muzułmanie z byłych europejskich kolonii w trudnym przejściu do świeckiej nowoczesności doznają swego rodzaju intelektualnej kolizji, którą wzmacnia polityczna hierarchia. Dotyczy to zwłaszcza najważniejszej tradycji oświeceniowej, czyli sekularyzmu, oddzielenia państwa od religii.

Podobnie jak nie ma jednego islamu, którego naturalną konsekwencją miałby być dżihad (terror jako sposób działania ma korzenie europejskie, wystarczy przypomnieć terroryzm skrajnej lewicy lub choćby fakt, że jednego z ostatnich europejskich zamachów – z największą liczbą ofiar – dokonał norweski prawicowy ekstremista), tak i muzułmanie między sobą często skrajnie się różnią pod względem społecznym, ekonomicznym czy światopoglądowym. Podobnie współczesna przestrzeń świata, którą nazywamy zachodnią, jest zróżnicowana, nierówna i niestabilna. W terrorystycznym ataku na „Charlie Hebdo” powinniśmy widzieć raczej zderzenie starych i nowych wizji świata w europejskiej przestrzeni. Francję czekają reformy – dowodzi autor „The Guardian” (choć znamienne, że nie jest to główny nurt francuskiej debaty) – jeśli nie chce ona roztrwonić powstałej na bazie hołdu dla ofiar masakry w „Charlie Hebdo” społecznej solidarności. „Nowa wspólna przestrzeń musi być ponownie wynegocjowana”, podobnie jak renegocjować trzeba modele integracji i fundujący je pakt oświecenia. Jeśli powtórzmy dzisiaj Kantowskie przekonanie, że oświecenie jest dobrowolnym powrotem człowieka do stanu niedojrzałości, to po to, by podkreślić, że jego zadaniem pozostaje stałe odnawianie obowiązku odpowiedzialności za wspólnotę, zwłaszcza w zmieniających się warunkach społecznych i politycznych. Najważniejsze dziedzictwo oświecenia w wieloetnicznej Europie (do skonstruowania) to przede wszystkim rozdzielenie porządku

felietony

teokratycznego od politycznego, ale nieodłączne od etosu krytyki skupionej na współczuciu i nieustannym dążeniu do pogłębiania samoświadomości „w naszych nieodwracalnie zmieniających, pełnych wzajemnych zależności, bardzo nierównych społeczeństwach”.

Piszę ten tekst i mam w pamięci echo zamachu na Muzeum Żydowskie w Brukseli w maju 2014 roku, w wyniku którego zginęły cztery osoby. Nim go ukończyłam, doszło do terrorystycznego aktu w Kopenhadze, gdzie podczas debaty o wolności słowa, odnoszącej się bezpośrednio do sprawy „Charlie Hebdo”, został zastrzelony jeden z jej słuchaczy – grecki filmowiec (warto odnotować, że prócz Femenu brała w niej udział polska artystka organizująca w Londynie festiwal multikulturowy Passion for Freedom, Agnieszka Kolek). I choć nie da się wytłumaczyć ani zrozumieć okrucieństwa zbrodni, to warto podkreślić, że bez wątpienia na akty kryminalne państwo musi odpowiedzieć policyjnymi sposobami wzmoczenia obronności. Jednak równocześnie naczelną wartością zachodniej kultury – swoboda wypowiedzi – wymaga od nas najbardziej skutecznej, przemyślanej obrony. Terrorystyczne zamachy ostatnich miesięcy nie przyniosły żadnych odpowiedzi, namnożyły tylko pytań. Najważniejsze jednak pozostaje to, jak je sformułujemy.

W odniesieniu do ostatniej powieści Houellebecq’a przypomnijmy słynny film dokumentalny o tym samym tytule, *Submission*, poświęcony kobietom w islamie i zrealizowany 10 lat temu przez Theo van Gogha (prawnuka Vincenta) oraz Ayan Hirsi Ali, somalijską bojowniczkę o prawa kobiet. Ta ostatnia miała zapewnioną ochroną wskutek otrzymywania pogroźek (zmuszono ją zresztą wkrótce do emigracji z Holandii wobec narastania nastrojów skrajnie prawicowych), jednak sam Theo okazał się łatwym celem wstrząsającego rytualnego mordu, jakiego dokonał na nim w 2005 roku potomek marokańskich imigrantów. Chodziło nie tylko o widoczne na filmie projektowanie wersetów Koranu na nagie ciała kobiet, ale także o to, kim był sam Theo van Gogh. Uważał się za artystę prowokatora i celował w grubiaństwo (jako „najbrzydszy” mężczyzna w Dani nosił maskę świni). Jak pisze Marek Orzechowski w książce *Holandia. Presja depresji*: „bardziej niż z własnej twórczości artystycznej znany był z licznych wywiadów, w których wypowiadał opinie dalekie od jakiegokolwiek politycznej czy obyczajowej poprawności. Muzułmanie dla niego «pieprzyli kozy», Jezusa Chrystusa nazywał «cuchnącą rybą z Nazaretu», w komorach gazowych Holokaustu doszukiwał się zapachu karmelu («dzisiaj palą tylko Żydów chorych na cukrzycę»»). Mimo swej dosadności na krytykę reagował obraźliwie i wulgarnie („Theo van Gogh kochał wolność słowa, ale głównie, niestety, swojego” – pisze nawet Orzechowski). A w dniu, w którym zginął, jechał odebrać film o innym zamordowanym holenderskim polityku Pimie Fortuynie – skrajnie faszystującym populiście (paradoksalnie o homoseksualnej orientacji) – którym się fascynował. I choć zdanie wielokrotnie w Holandii powtarzane przy okazji sprawy van Gogha: „Nie zgadzam się z Tobą, ale będę się bił, abyś mógł wygłaszać swoje poglądy, trzeba w refleksji nad zamachami terrorystycznymi stale przywoływać i na nowo uwiarygodniać, to warto by było także z tej samej okazji stale uwrażliwiać naszą kulturę na wielość punktów widzenia. Taki oparty na przemyślanych wartościach współodpowiedzialności i współczucia proces głębokiej polityzacji kultury – jako że ona jest podstawowym wehikułem treści – musi być podstawą jedynej przyszłości Europy, owej postulowanej przez Pankaja Mishrę wieloetnicznej Europy do skonstruowania. Jest to ważne do przemyślenia również w Polsce, gdzie „Charlie Hebdo” w ogóle by się nie ukazał z powodu prawnego zakazu obrażania uczuć religijnych.